# ŻYCIE

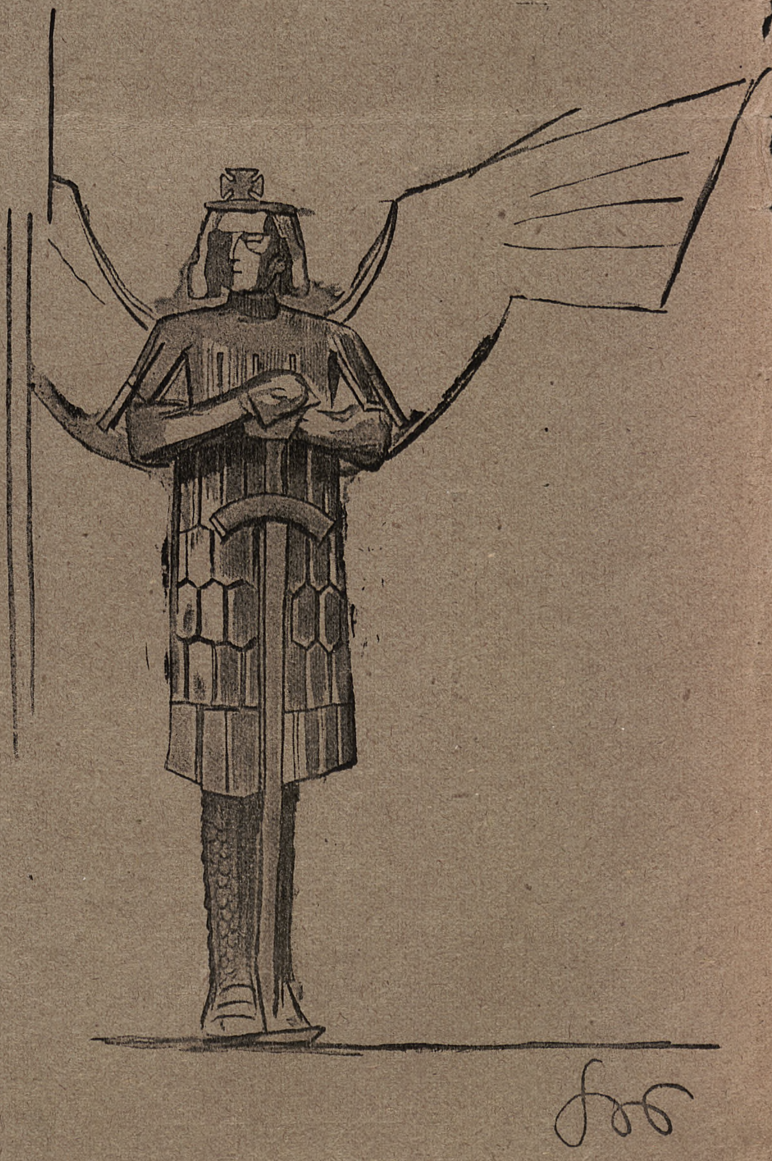



ROCZNIK I. ZESZYT VIII.
DNIA 19. LISTOPADA 1910 R.

**Wydawcy:**
**Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.**
**Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.**
**Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.**

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA". : WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE. ::




# ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI


GUSTAW DANIŁOWSKI.

## BOLESŁAW LIMANOWSKI.

Żołnierz, wygnaniec, tułacz i mędrzec — trzymający czujną wartę na strażnicy rewolucyjnej myśli naszej — Bolesław Limanowski obchodzi 75-cioletnią rocznicę urodzin, pół wieku społecznej i literackiej pracy.

Sędziwy dziś patryjarcha — ojciec duchowy wielu pokoleń, co „jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec“ wznosiły i wznoszą fundamenty nowej Ojczyzny — jest owym mężnym chorążym, co z pogromu 63 roku ocalił buntowniczy sztandar i, rozpłomieniwszy go nowoczesnymi ideałami sprawiedliwości społecznej, wniósł w szeregi nowej sprawy.

Serce Jego stało się jak gdyby „arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty“, bo bije tętnem bohaterów powstania i jednocześnie krwią bojowników dzisiejszych, walczących o wolność ludu i niepodległość narodu.

„Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość“ — to dziełko Jego, rozmiarami przypominające książkę do nabożeństwa, od chwili wyjścia stało się istotnie modlitewnikiem młodzieży, na którego kartki, jak na Ewangielję, a na wizerunki, jak na obrazy świętych składała ona sobie ciche, a niezłomne przysięgi.

Książka ta, która, jak się dobitnie wyraził pewien robotnik: „przewraca w człowieku duszę do góry nogami“ — była pierwszą lekturą niemal wszystkich owych tajnych kółek w Królestwie, gdzie się krzewił i skąd wypłynął potężny ruch, by się wreszcie streścić na epokowym przed siedmnastu laty zjeździe w Paryżu, któremu Limanowski przewodniczył, w programie Polskiej Partji Socjalistycznej, obejmującej przez stwierdzenie postulatu Niepodległości całokształt interesów ludu i narodu.

Pierwszy historyk powstania, dziejopis ruchów społecznych XVIII-go i XIX-go wieku, był owym cudownym lekarzem, co wytrawiał sączącą się w serca nasze truciznę ze szkoły Apuchtina i z atmosfery serwilizmu, stańczykierji, niewolniczego lęku i poddania się wyrokom losu, panującej podówczas w społeczeństwie.

Czcząc autora, idealizowaliśmy sobie jego osobę, jako człowieka — i nie doznaliśmy rozczarowania.

Postać Limanowskiego, oglądana przez pryzmat Jego życia, urasta do rozmiarów niezwykłych.

Już jako student uniwersytetu dorpackiego, zakłada kółko rewolucyjne z programem: uwłaszczenia włościan — niepodległości Polski.

Na pierwszą wieść o tworzeniu przez Garibaldiego legjonu polskiego — wyrusza za granicę. W 60-ym roku wstępuje w Paryżu do szkoły wojskowej pod kierownictwem Mierosławskiego i Wysockiego, łącząc studja militarne z pracą naukową nad dziejami emigracji, by opublikować prócz drobnych prac w tej sprawie, życiorys Emilji Plater.

Wypadki 61-go roku przywołują go napowrót do kraju. Tu bierze czynny udział w organizacji komitetu centralnego dla Litwy, lecz wkrótce aresztowany wraz z Benedyktem Dybowskim zostaje zesłany do gubernji Archangielskiej.

W odosobnieniu od cywilizacji, od książek, od źródeł naukowych, obmyśla samodzielnie systemat socjologiczny — ale pracę tę przerywa wybuch powstania. Nieudana ucieczka, przedsiębrana, by wziąć udział w ruchu, wtrąca go do więzienia i dopiero po ośmiu latach wygnania, skutkiem manifestu uzyskuje możność przybycia do kraju. Brak środków materjalnych, oraz chęć zbliżenia się do sfer robotniczych, skłania go do wstąpienia do fabryki wyrobów żelaznych Lewandowskiego w Warszawie.

W Królestwie bawi niedługo: wybuch wojny prusko-francuskiej, nadzieja na zwycięstwo ostatnich i myśl tworzenia legjonów polskich porywa go znów na Zachód. Zawiedziony w nadziejach, osiedla się w Galicji, i we Lwowie już jako przekonany socjalista rozwija szeroką społeczną, agitacyjną i literacką działalność. Aresztowany tym razem przez władze galicyjskie, mąż ten z rozkazu namiestnika-rodaka zostaje wydalony z granic Austrji.

Rozpoczyna się nowy okres wygnania, emigracyjnej tułaczki i emigracyjnej materjalnej nędzy.

Działalność socjalistyczna Limanowskiego, jego przekonania, charakter jego prac naukowych, zamykają przed nim drzwi, jakgdyby wymarzonej dlań posady bibljotekarza w Rapperswilu.

Przyjmuje więc miejsce drobnego urzędnika w towarzystwie ubezpieczeń w Paryżu i kosztem kradzionych godzin snu, odpoczynku, przymierania głodem — znajduje środki i czas dla swojej „Historji demokracji", „Wstępu do Socjologji", dla tworzenia dzieł naukowych oraz żywej działalności w miejscowych polskich organizacjach,

Wreszcie po dwudziestu dziewięciu latach tułaczki uzyskuje pozwolenie powrotu do Galicji i wydaje w Krakowie najznakomitsze swe dzieło o „Stanisławie Worcellu". Książka ta — warta nagrody Akademji Umiejętności, gdyby ta instytucja umiała zdobyć się na obywatelską śmiałość, nie liczącą się ze względami pobocznej natury — jest niejako długiem wdzięczności autora dla człowieka, którego imię w młodości „wzbudziło w nim w potężny sposób poczucie godności narodowej".

Przy czytaniu tej monografji rzuca się w oczy niezwykłe pokrewieństwo duchowe tego pierwszego prekursora socjalizmu polskiego, emigranta po roku trzydziestym pierwszym — z osobą autora-socjalisty z pokolenia sześćdziesiątego trzeciego roku.

Ta sama łagodność w obejściu, puszczanie w nie amięć uraz osobistych dla dobra sprawy, brak wszelkiej prywaty, a jednocześnie żelazny hart i niezłomność, gdy chodzi o przekonania — o wierność zakonowi swej duszy. To też cytatę ze Słowackiego, umieszczoną na wstępie dzieła należałoby użyć za motto księgi o Limanowskim:

— „Jako żórawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem.
Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
Ich wrzask, ich imię, ich lament — to hasła".

Tym świetniejszym sercem jest Bolesław Limanowski, sędziwy wiekiem, a młody duchem gorącym, którego sto lat nie wyziębi. Godny wódz, co łańcuch nasz dziś prowadzi i prowadzić wiecznie będzie, bo takie jak On postaci nie umierają, a tylko przeobrażają się w święte, czczone, płomienne hasła.



Dr. MARJAN KUKIEL.

# LIMANOWSKI JAKO HISTORYK.

Kilkanaście lat temu był Limanowski jedynym dziejopisem pogrobowej przeszłości narodu. Wszystko poza nim było tanią wulgaryzacją, płytkim gawędziarstwem, lub politycznym pamfletem ku zohydzeniu raz na zawsze tych zuchwałych porywów, na których karb składano wszystkie niedole narodowe. Bez troski o historyczną ścisłość, bez naj nniejszej próby naukowego opanowania i zgłębienia przedmiotu, rozprawiali się polityczni rzecznicy otrzeźwienia z Insurekcją, czy z Legendą napoleońską, z Listopadem, czy z Powstaniem styczniowym. Dla badaczy fachowych dzieje polskie, naukowemu rozbiorowi dostępne i podległe, kończyły się na akcie rozbiorowym; przeżywały go w najlepszym razie jako dział historji wojen światowych Napoleona. Tu i ówdzie drobna rozprawka ujawniała oderwany szczegół z tej najświeższej, najboleśniejszej przeszłości. Dawne dzieła, traktujące o sprawach współczesnych, poszły w niepamięć. Śmiech zbiera i gorzko się robi, gdy spojrzeć na strawę duchową w zakresie dziejów najnowszych, którą W. Smoleński, historyk, w drugim tomie „Poradnika dla samouków“ biedną młodzież traktował. Gdy wyszła w r. 1894 rzecz Korzona o Kościuszce, nie znalazł się, ktoby napisał jej ocenę rzeczową. W marnej intencji i gorzej niż w marnym przekładzie wydana po polsku książka Puzyrewskiego o kampanji r. 1831 była dla ciekawców pewnego rodzaju objawieniem. O roku 1831 zaczynał dopiero swą pracę, bardzo cenną, acz podyktowaną przez interes polityczny i przepojoną przez tendencję polityczną, amator-historyk, W. Przyborowski. Uznana nauka czekała „aż się przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytuń uleży...“ Po latach kilkunastu rzucił jej znakomity historyk na czele swej księgi o Łukasińskim niemiłe pytanie: „Czemu to o tem pisać nie chcecie panowie?“ Bo też w ciągu tych lat kilkunastu dokonał się w oficjalnej historjografji polskiej i w stosunku jej do Dziejów porozbiorowych przewrót olbrzymi: wystąpił, stworzył szkołę i stworzył sobie legjon współzawodników Szymon Askenazy. Jest przecież coś rozdzierającego w tym fakcie, że zarówno w uprzedniej dobie głuszy i zastoju, jakoteż w dobie późniejszej walki i przełomu, dla oficjalnej historjografji polskiej nie istniał wielki uczony, niestrudzony badacz i wygnaniec z łaski rodaków, samotny wśród braci po piórze — Bolesław Limanowski.

Bezimienna i zapomniana po części była pierwsza jego rzecz wielka: „Historja powstania narodowego r. 1863—4“, wskrzeszona z czasem jako szczupła broszurka popularna, zignorowana tym samym przez fachowców. Bez echa przechodziły liczne rozprawki, rozproszone po czasopismach i efemerydach radykalnych. W próżnię padły dwa wielkie tomy, jedyna w swoim rodzaju i niczym nie dająca się zastąpić książka polska: „Ruch społeczny w XVIII i XIX w.“. Z czasem zwiedziała się o niej młodzież i rozchwytała po śmiesznie zniżonej cenie dzieło, które przeważnie świeci nieobecnością w bibljotece publicznej, stale zaś w gabinecie badacza. Ileż od tego czasu naodkrywano rzeczy dobrze znanych Limanowskiemu i zużytkowanych w jego wielkiej księdze! Krytyka naukowa zgoła nie zaregiestrowała przepięknej książki popularnej: „Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość“; nie zaregiestrowała książki, od wszystkich poprzednich dojrzalszej, ściślejszej, bogatszej w materjał naukowy: „Historji demokracji polskiej“. Rzecz jednak znamienna, nowe to, wielkie dzieło Limanowskiego wydane zostało przez młodzież... W istocie nieuznana i nieoficjalna praca naukowa Limanowskiego z niepożytą działała siłą na kształtowanie się ideowe nowego pokolenia, była jednym z czynników stającej się w całej polskiej naturze przemiany. I naodwrót przemieniona ta natura polska sprawiła, że dzieła Limanowskiego, dotąd własność studenta, ucznia, robotnika, stawać się zaczęły własnością całego społeczeństwa, że nowa edycja „Historji powstania“ powszechną zwróciła na się baczność, że głośno rozbrzmiało po ziemi naszej imię „Stanisława Worcella“, że coraz natarczywiej dobija się sprawiedliwości u trybunału nauki polskiej zasługa sędziwego rewolucjonisty.

Zasługa zgoła nie subjektywna tylko.

Niewątpliwie, żadne z wielkich dzieł Limanowskiego nie może uchodzić za ostatnie słowo nauki o danym przedmiocie. Najpierw dlatego, że przedmioty były olbrzymie. Nad historją polityczną Wielkiej Rewolucji francuskiej strawił Aulard lat dwadzieścia ciągłej, natężonej pracy, oddany wyłącznie badaniom, korzystając z całego aparatu naukowego, dostępnego dla dzisiejszego historyka. Swoją historję polityczną wielkiej rewolucji polskiej pisał Limanowski uginając się pod brzemieniem nieznośnym pracy zarobkowej, która nie pozwalała mu nawet korzystać należycie z paryzkich bibljotek i archiwów; polskie zbiory były dlań zamknięte; nie było mowy o wycieczkach naukowych. Było gorzej. Ten uczony o benedyktyńskiej pracowitości, jedyny dotąd gruntowny znawca polskiej literatury politycznej dwóch ostatnich stuleci, nigdy nie był w stanie stworzyć sobie podręcznego księgozbioru, kupić w antykwarni starej broszury czy kompletu starego pisma; gorzej nie bywał on *au courant* nowych publikacji historycznych; zdarzało się, że w dziełach jego nowe zdobycze wiedzy bywały pomijane, nie dla braku sumienności badacza, ale dlatego, że danej książki nie było w bibljotece publicznej! A przecież—i tutaj subjektywna zasługa, zapał i poświęcenie badacza, staje się zasługą objektywną, naukowym czynem— nikt dotąd nie opanował źródeł drukowanych do dziejów Polski porozbiorowych w tak ogromnym zakresie, jak właśnie Bolesław Limanowski.

Źródeł drukowanych, a więc broszur, pamiętników, gazet i pism ulotnych. To wystarczało Limanowskiemu. Czyniło zadość jego dążeniu do wykrycia istotnej prawdy wydarzeń. Bo też faktem dlań zasadniczym w historji było powstawanie i rozwój idei. Wszystko inne było czynnikiem wtórnym. Mogło być zlekceważone w jego samotnym, gigantycznym wysiłku. Limanowski nie ocenił nigdy znaczenia d o k u m e n t u, a więc rozporządzeń rządowych, ustaw, umów, traktatów, korespondencji urzedowych. We wszystkich

bowiem tych aktach wyraża się przeważnie gra interesów i sił, które już w danym momencie panują w społeczeństwie ludzkim. Czynniki, stwarzające przyszłość, widział Limanowski gdzie indziej: w pracy samotnej myśliciela, w propagandzie działacza społecznego, w poświęceniu ofiarnika. Jest on *par excellence* historykiem społecznej myśli i działania społecznego w Polsce. Zwycięstwo nowych idei społecznych było zdaniem jego zawsze i wszędzie, bez względu na rzeczowe warunki, nieodzownym i głównym warunkiem politycznego zwycięstwa; opieszałość lub połowiczność w postawieniu kwestji społecznej zasadniczą przyczyną klęski. Tutaj szedł Limanowski po linji, wytkniętej w historyczno-politycznych pamfletach demokracji emigracyjnej.

Jest on historykiem tendencyjnym. Wyznaje to sam z szczerością ujmującą. Głęboka jego i serdeczna wiara polityczna nadawała pracom jego charakter świadomego, otwartego aktu propagandy powstańczej, demokratycznej i socjalistycznej. Tracił na tym Limanowski jako badacz. Zyskiwał tyleż Limanowski jako człowiek. Ileż przesądu i uprzedzenia lub zgoła złośliwej ignorancji mieści się często pod maską objektywizmu naukowego! „Najbardziej nawet objektywne badania — pisze Bernheim w znanym dziele o metodzie historycznej — nie odbywa się bez określonych sądów o wartości; nie może przeto być szkodliwym dla odpowiedniego, możliwie niespaczonego odtworzenia tego procesu badawczego, czyli dla pojętej w tym wewnętrznym znaczeniu objektywności wykładu, jeśli autor wyraźnie w toku opowiadania wypowie to swoje stanowisko i te swoje sądy o wartości. Zgoła nawet musimy stwierdzić, że w interesie prawdziwej objektywności lepiej jest, gdy to się stanie". „Byłoby niepodobieństwem — wyznaje Ranke — w pośrodku zmagania się wielkich potęg i idei, brzemiennego największymi wydarzeniami dziejowymi, powściągnąć się od wszelkiego o nich sądu". Jest to źródło błędów u historyka, ale błędów nieuniknionych. Nie uniknął ich Limanowski. Uniknąć ich było mu tym trudniej, im więcej ułamkowe musiały być jego badania, im bardziej wyłącznie polegały one na materjale drukowanym, z natury rzeczy więc noszącym przeważnie polemiczny charakter. Zbyt może wielką wartość przywiązywał ten mędrzec o duszy bezgranicznie prostej i szczerej do ludzkiego słowa... Cierpi na tym nieco krytyka źródeł, z których korzystał. Ogromem jednak wiedzy, gorącym umiłowaniem prawdy tchną dzieła historyczne Bolesława Limanowskiego.




A. STRUG.

# MOGIŁKA.

7)

Deptały po zmożonych ludziach ciężkie majaki. Szturmowały do nich stare wspomnienia życia, wyprawiały się przed nimi niepojęte dziwolągi, dusiła ich zmora. Przewracali się, jęczeli przez sen, męczyli się. Każdy przeżywał w tym śnie coś najtajemniej własnego, każdy w tym krótkim uśpieniu coś dla siebie wyczytał i odgadł. Nie śniło się nic tylko Lińkiewiczowi, który się wciąż modlił i Gołońskiemu, który już skonał i leżał po dawnemu z głową opartą na kolanach chrapiącego Rykwity.

Z wielkim trudem i znowu z kopaniem i z szarpaniem budził ich pułkownik ze Smyczyńskim. Powoli gramolili się ku wstawaniu pomordowani ludzie, powoli przychodzili do przytomności i spostrzegali gdzie są i co się z nimi dzieje. Pan Chądzyński po tej chwili snu czuł się wypoczętym i rzeźkim. Pułkownik i wachmistrz mieli łyskające oczy i zawziętość w twarzach, a bagnety mieli obaj czerwone. Jędrek. który wciąż chodził za wachmistrzem na postronku, trząsł się, jak w febrze, był blady i oczy rozwarły mu się szeroko.

— Co się stało?

— Nic. Dwóch kozuniów na nas wlazło przypadkiem. Nie zdążyli nawet krzyknąć. Trza ich będzie poodciągać z drogi dla niepoznaki, bo mogą przechodzić inni. Konie przywiązaliśmy w lesie. Wstawaj! Ruszaj!

— Co słychać, pułkowniku? — spytał szeptem pan Chądzyński.

— Nic, droga niby wolna. Jeżeli chłopak nie łże, to te lasy za gościńcem idą aż do samej granicy. Możemy dojść — dlaczego nie? Możemy... Trzebaby tylko przez tę porębę jakoś

delikatnie. Pusto, psia krew, goło — widać naokoło na jakie trzy wiorsty...

— A Gołoński umarł, panie pułkowniku. Krew go zalała.

— Daj mu tam Boże! Ładunki i broń zabrać!

— Lińkiewicz nie chce iść za nic.

— Ej ty! Organista! Chodź z nami, będziesz się modlił po drodze. Wstawaj, bo cię tu znajdą! Słyszysz? Ruszaj!

Ale naprożno tłómaczono mu i szarpano go na wszystkie strony. Stary głowę zadarł do góry a oczy miał już zupełnie błędne i nie widział nic, prócz jakichś rzeczy tajemnych, które się działy tam wysoko w przestworzach niebieskich. Zabrano jego sztucer i naboje i zostawiono ich obu. Pan Chądzyński, który szedł na samym końcu, obejrzał się jeszcze raz. Trup Gołońskiego leżał z twarzą przykrytą kaszkietem żołnierskim, a stary Lińkiewicz klęczał u jego stóp z rozkrzyżowanymi ramionami i patrzył w niebo i modlił się głośno.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

...Około czwartej po południu wyszedł już z ludzi ostatek sił. Wlekli się wszyscy w kupie, noga za nogą, opierając się na sztucerach, zataczając się i ledwie dysząc. Granica musiała być już gdzieś bardzo blisko. Jaki taki pomyślał sobie, że może nawet są już za linją kordonu i nic o tym nie wiedząc, mordują się tylko niepotrzebnie. I tylko ta bliskość granicy podtrzymywała jeszcze cudem siły ludzkie. Ale wszystko ma swój koniec.

Nastąpił moment, kiedy kilku odrazu zwaliło się na ziemię i nie mogło już powstać.

Pułkownik błagał ich, żeby się jeszcze przemogli.

— Tylko pół godziny, ani minuty więcej! Słyszycie? Pół godziny, z zegarkiem w ręku — i spanie! Pół godziny — i żarcie i wolność! Ruszaj!

Nic to jednak nie pomogło. Należało wytchnąć. Rozłożyli się w krzakach na brzegu sporej polany, na której stały samotne purpurowe buki i kilka bladożółtych klonów. Rozłożyli się w łańcuch frontem do polany, mając za sobą las — i granicę. Nakazane było nie spać i trzymać broń gotową. Większość jednak już po minucie zaczęła chrapać, a reszta z głodu gryzła i żuła gałązki bukowe, lub pożerała surowe grzyby.

Mijały właśnie cudowne godziny jesiennego południa. W ciepłych promieniach słońca, w zapachu więdnących liści rozpowijał się rzewny smutek i słodka, niewyrażalna tęsknota. W smętnej, łaskawej pogodzie stały wielobarwne buki, srebrzyły się pajęczyny po łące.

— Jędruś — mówił dobrotliwie pułkownik. — Rozważ ty chłopcze jeszcze raz! Wymiarkuj sobie, kochaneczku i obejrzyj się, póki czas. Czyś ty się aby nie zmylił? Już się teraz przyznaj. Mów prawdę. Nic ci nie będzie!

— Ja, proszę wielmożnego pana pułkownika, tędy lasami nie chodził. Ale ten las jest rządowy i nazywa się Buczynowski las. U nas wszyscy wiedzą, że on podchodzi pod samą Austrję. Tędy dużo szwarcunku chodzi w spokojny czas, a w tę wojnę i trzy razy tyle. Nasi ludzie wszędzie tu mają swoje przechody, ale ja tu nie bywał, przepraszam wielmożnego pana...

Smyczyński słuchał pochmurnie, ponuro patrząc na chłopca.

— Gadaj chłopak, — rzekł — daleko teraz do tej twojej wsi? Pokaż, w której stronie Namłotów?

Jędrek zafrasował się. Prawdę powiedziawszy nic on już nie wiedział. Ani gdzie jest wieś, ani gdzie jest „Austrja", ani też — w którą stronę teraz idą. Bał się niezmiernie powstańców, bo ludzie gadali, że oni za byle co wieszają na gałęzi. Z tego strachu kręcił jak mógł i łgał, że Namłotów jest o dwie godziny drogi — bo „obeszliśmy w koło lasami i że teraz wieś się przybliżyła," że granica „ino patrzeć". Uspokajał pułkownika, że tu żadnego wojska być nie może, bo cesarz austrjacki nie pozwolił moskalom z bliska podchodzić, że dalej jak za Namłotów kozaki nigdy nie chodziły itd.

Jędrek był chłopak rozgarnięty i byłby innego czasu wszędzie trafił. Ale od tej chwili, kiedy pułkownik i wachmistrz, do którego był przywiązany na postronku, zaczęli żgać bagnetami w kozaków i kiedy kozaki zwaliły się z siodeł, pomroczyło mu się w głowie. Okolica tamtejsza była jeszcze znajoma i tam wszystko wiedział. Ale potem zaczęło się chodzenie po nieznajomych lasach.

Mijali polany, poręby, bagienka, leśne, stare lasy, jakieś zagajniki. Napotkawszy jaką osadę ludzką już z daleka zbaczali w las, nadrabiając drogę i okrążając niebezpiecznych ludzi. Jędrek chciał z duszy trafić, jak trzeba, bo bał się bardzo pułkownika i spodziewał się, że go panowie hojnie nagrodzą, a zresztą dumny był z tego, że on, Jędrek, prowadzi całą „partyę". Szedł wprawdzie na sznurku, ale na ramieniu trzymał sztucer a u pasa miał ładownicę. Zdawało mu się, że jest żołnierzem i okropnie mu się chciało ten sztucer i tę ładownicę przynieść ze sobą do domu. Zasługiwał się więc, jak mógł, ale teraz czuł, że zbłądził.

Pułkownik, miarkując według słońca, wiedział, że kierunku na ogół nie utracił, ale o tej porze sam już sobie nie dowierzał. Mimo całej odporności i woli co chwila zasypiał. Zapadał w chwilowe odrętwienia podczas pochodu, szedł, jak nakręcony, mówił machinalnie i czuł, że śpi. Po chwili budził się i niezmierne znużenie podcinało mu nogi. Przemagał się a dla ulgi wymyślał swoim ludziom, wlokącym się, jak po smole. Bezładne obrazy przesuwały mu się przez głowę.

Pierwszy tryumf — zabranie transportu nieprzyjacielskiego i zniesienie do szczętu roty piechoty wraz z oficerami... Wielkie nadzieje, wszędzie szczera ochota do walki. Gościnne i ofiarne dwory, posłuszne chłopstwo, sprawnie działająca machina wojewodów, naczelników, komisarzy, skarbników i powódź instrukcji i cyrkularzy, które znamionowały, że ktoś ruchem rządzi. A lada moment na to wszystko miał przyjść i wszystko objąć gienjalną głową i mocną ręką pan Ludwik, prawdziwy żołnierz i prawdziwy rewolucyjny jenerał. A oto Langiewicz.

Zamęt i zajadłość dyskusji z nieznajomymi komisarzami, przybywającymi od tajnego rządu z poleceniami, pełnymi dziwolągów. — Kłótnie w szeregu, polemiki i rozłamy po lasach podczas pochodu, w obliczu nieprzyjaciela. Kogo słuchać? Co robić?

Znowu moment szczęścia. Przyszły sztucery belgijskie. Znowu strapienie: gdzie ładunki?

Zaczęła się nareszcie wiosna, ustalała się pogoda. Miło się zrobiło w lasach. Z dnia na dzień na spodziewaniach, oczekiwaniach, na pochodach i kontrmarszach, na obozowaniu i rzadkich drobnych utarczkach zeszło lato. Wciąż się coś miało zacząć na prawdę. Ot jutro — ot pojutrze — ot za dwa tygodnie. Ale wciąż było tylko to samo. Wielkie było święto, jak się dało coś urwać. Niezmierna, dziecinna radość panowała wówczas w obozie. Nikt nie wiedział, że na wojnie takie tryumfy nic nie znaczą. Pułkownik tęsknił do planu, do wodza, do wielkiej armji. Tak zeszło — ot i koniec... Robił, co był powinien aż do ostatka, ale wiedział, że właściwie nic nie zrobił.

Myśli te były smutne, ale pułkownik nie poddawał się nigdy rozpaczy. Wiedział, że nic on tu nie zawinił, więc był, jak zawsze, spokojny w duszy swojej. I jak zawsze był na coś zły. Pułkownik miał niezłomne przekonanie, że dowódca powinien być zły i opryskliwy o każdej porze dnia i nocy i w każdej okoliczności. Inaczej niema dyscypliny. To też złościł się bez przerwy przez cały czas kampanji, tembardziej, że nie było takiego dnia i godziny, żeby nie miał za co i na kogo.

A teraz do wściekłości doprowadzała go myśl o tym jego pułku, który, jak to wiedział zawczasu, operował nad granicą. Najtajniejszym marzeniem jego od czasu, jak złamał przysięgę wojskową, było — spotkać się na polu bitwy z dawnymi kamratami. Była w tym pewna kawalerska i próżna chełpliwość — popisać się przed starymi znajomymi. Były w tym jednak i mściwe uczucia i nieubłagane porachunki.

Porucznik Zawalenko i kapitan Botyszyn byli to wrogowie, których kazałby powiesić, gdyby ich złapał. Oni to bowiem jeszcze na długo przed powstaniem, publicznie zapowiadali, że w razie wojny z Polakami porzucą służbę. A jemu poufnie przysięgali, że wstąpią do szeregów powstańczych, służyć swoją sztuką wojskową słusznej sprawie, walczyć o wolność Polski i o wolną Rosję. Wtajemniczeni byli obadwaj w ważne roboty spiskowe, przygotowawcze. A kiedy przyszedł miesiąc styczeń, ostali w wierności. Kiedy ich widział po raz ostatni, jeszcze będąc w mundurze rosyjskim, już mieli zimne oficjalne twarze. Nie rozumieli zupełnie, o co mu chodziło i tak znakomicie odegrali komedję zdumienia, że pułkownik przypuszczał, że sam zwarjował i że wszystko co było przedtem i to, czego się od nich domagał — było tylko majakiem. Przeraziło go to. Kilka godzin spędził w okropnej walce o zdobycie jasnego sądu o tym, co zaszło. I zrozumiał nareszcie i przebolał ten srogi zawód.

Ale raną jątrzącą był dopiero porucznik Kiryłow. Tamci byli to koledzy, ludzie zaufani, którzy mogli być dla ruchu pożyteczni — ten był najszczerszym i jedynym na ziemi przyjacielem. Kolegowali ze sobą w szkole wojskowej. Razem w pułku dobijali się pierwszych stopni oficerskich. Razem pili, razem marzyli, mieli wspólną kasę i wspólną każdą myśl, razem mieszkali i jak jeden człowiek jednocześnie zakochali się w jednej i tej samej pannie. Jemu to zeszedł z pola późniejszy pułkownik, kiedy przyjaciel zakochał się i zakochał się śmiertelnie i przez jakąś fatalność właśnie w „niej“, w tej samej... Dla niego wyrzekł się panny, jakiej drugiej nie mogło już być na świecie. Pomagał mu u panny, która się w nim właściwie zakochała — toczył z nią tajemnicze narady, podczas których krwawiło się mu serce i oddał ją przyjacielowi. Bo groził Kiryłow, że się zastrzeli. Trzymał nad nią koronę w cerkwi podczas ślubu i przez cały czas trwania obrzędu ręka mu się nawet nie zatrzęsła.

Olga była Rosjanką, Olga byłaby drugą Pustowujtówną — gdyby...

Kiedy oboje żegnali przyjaciela, idącego do walki, — Kiryłow miał tam za nim pospieszyć i w połowie lutego miał się już stawić. A pozostał. I kiedy pułk wyszedł w pole, poszedł z pułkiem.

Temu człowiekowi chciałby pułkownik spojrzeć w oczy. Z tym chciałby się spotkać w polu, w tej godzinie bitwy, — kiedy to piechota już biegnie do ataku. Pułkownik nie wiedział, coby zrobił z przyjacielem. Możeby go zamordował z rozkoszą, możeby stanął, odrzucił broń i spytał: „cóż, zabijesz mnie?“

W ciągu całego dnia od chwili, kiedy zobaczył z lasu bitwę na łęgach nad Czarną i poznał przez lornetę barwy swojego pułku, obraz ten stał mu wciąż przed oczami. Teraz stracił już nadzieję spotkania.

Drzemał i budził się. Zamyślał się, a myślenie przechodziło w sen. Kiedy się ocknął i otworzył oczy, oblał go zimny pot.

Na przeciwległym brzegu polany ostrożnie wynurzał się z zarośli łańcuch piechoty. Na lewym skrzydle kroczył, czając się, pochylony Kiryłow i pokazywał na niego szablą żołnierzom. Pułkownik osłupiał i nie miał władzy ruszyć się z miejsca, ani nawet krzyknąć na swoich. Wszyscy śpią — myślał z rozpaczą.

Tymczasem żołnierze skradając się ostrożnie, doszli do buków, do połowy polany. Kiryłow przełożył szablę do lewej ręki i wyjął rewolwer. Straszliwa gorycz zalała serce pułkownika. Porwał się całym wysiłkiem i wszystko znikło, jakgdyby długi cień, padający od buków pochłonął ich i zagasił.

(C. d. n.)



KAZIMIERZ FRECH.

# SAMORZĄD MIEJSKI W KRÓLESTWIE.

I.

Im bliżej sesji zimowej petersburskiej Dumy, tym żywiej poczynają się krzątać w Królestwie Polskim politycy mieszczańscy wszelkich barw, wszelkich odcieni.

Tyloletnie bowiem marzenia naszych grup ugodowych w zaborze rosyjskim poczynają się urzeczywistniać. Stołypinowski gabinet „uspokojenia i zreformowania“ Rosji, uspakajając kraje podbite swoistą metodą stawiania szubienic oraz gwałtów i bezprawi administracyjnych, jednocześnie przecież wypełnia i drugą część swego programu, „reformując“ poszczególne kraje, wchodzące w skład państwa rosyjskiego.

Zgodnie ze swym programem, premier rosyjski Stołypin uszczęśliwić pragnie Królestwo Polskie reformą gospodarki miejskiej, przez dopuszczenie ludności miast do korzystania „z dobrodziejstw samorządu, do którego ma ono prawo, ze względu na swą wysoką i własną kulturę“. Przytym, jak na „konstytucyjnego“ premiera wprawdzie niekonstytucyjnej Rosji przystało, oddając ułożony przez swych współpracowników projekt ustawy samorządu miejskiego dla Królestwa, do rozpatrzenia głównemu zarządowi do spraw gospodarki lokalnej, „saratowski liberał“ powołał nawet w charakterze rzeczoznawców jednocześnie i „przedstawicieli ludności miejscowej“. Kilku ugodowców, paru byłych urzędników-polaków, kilku burmistrzów miast gubernjalnych, notabene mianowanych przez rząd, oraz kilku rosyjskich gubernatorów, składało owe przedstawicielstwo ludności Królestwa.

Powołanie do udziału w pracach biurokracji rosyjskiej kilku ugodowców i ugodowo nastrojonych demokratów narodowych, przyjęły grupy ugodowe i niewyrobione warstwy mieszczaństwa za objaw liczenia się sfer rządowych z opinją ludności zaboru rosyjskiego. Założone przez smutnej pamięci zbankrutowanych przywódców staro- i neougody — Erazma Piltza i Romana Dmowskiego: Biuro pomocy społecznej w Warszawie, utworzyło nawet specjalne komisje, przyjmujące uchwały które miały służyć za dyrektywy „przedstawicielom“ ludności Królestwa w zarządzie do spraw gospodarki miejskiej. Rzecz prosta, że wszystkie te uchwały i dyrektywy pozostały jeno pobożnym życzeniem tych albo innych grup mieszczaństwa, nie znajdując wcale odbicia w decyzjach tej urzędniczej instytucji.

Charakterystycznym i dla określenia dzisiejszych tendencji, nurtujących Rosję, nader ważnym jest to, iż zarząd do spraw gospodarki lokalnej, w skład którego wchodzą również rozmaici delegaci miejskich i ziemskich organizacji samorządnych rosyjskich, znacznie bardzo pogorszył rządowy projekt ustawy samorządnej miejskiej dla Królestwa Polskiego, potęgując antypolski charakter tegoż. Pomimo bowiem szumnych słów Stołypina, wypowiedzianych na pierwszym posiedzeniu zarządu, iż „w miastach gubernji Królestwa Polskiego spodziewamy się ujrzeć samorząd polski“, wprawdzie z dodatkowym omówieniem, iż musi być on „podległy jedynie rosyjskiej idei państwowej“, przedłożony przez rząd projekt ustawy, poprawiony w szczegółach przez rosyjskich rzeczoznawców, projektem samorządu polskiego nie jest, ani też go nie stworzy.

Inaczej też być nie może. Samorząd przecież jest tylko funkcją administracyjną, jest jedną z gałęzi ogólnej administracji państwowej. Jest jeno praktycznym zastosowaniem zasady, wypowiedzianej przez Tocqueville'a, że państwo rządzi, lecz nie administruje (L' Etat gouverne et n'administre pas). Na charakter samorządu, na nadanie mu, że tak powiemy, barwy narodowej, wpływa ogólny charakter, ogólne zabarwienie systemu administracji.

Administracja zaś jako jedna z form rządzenia nabiera charakteru od władzy rządzącej, od państwa. Jednym słowem charakter i wartość narodowa samorządu zależne są zupełnie od narodowościowej wartości i charakteru samego państwa. „Samorząd polski, podległy jedynie rosyjskiej idei państwowej“ jest w ustach Stołypina szumnym frazesem, świadczącym tylko o politycznej obłudzie i brakach w prawnopaństwowym wykształceniu rosyjskiego premjera.

Praktycznej natomiast wartości zupełnie nie posiada. Dzisiejszy przecież charakter państwa w Rosji ultranacjonalistycznej, jest wszechrosyjski, w najgorszym tego słowa znaczeniu. Z tego powodu i wszystkie dziedziny działalności państwowej, a więc i administracja lokalna, przesiąknięte są tendencjami wszechrosyjsko-ultranacjonalistycznymi, nadając w omówionym wypadku projektowi charakter samorządu rosyjskiego, potęgującego nienawiść narodową, społeczną niesprawiedliwość oraz krępującego świadomie i celowo rozwój polskości.

Ale pomijając tę ogólną przyczynę, pragniemy jeszcze kilkoma słowy omówić przyczynę drugą również ogólną, która projektowi rządowemu zupełnie wszelką wartość odbiera i obiecane przez Stołypina korzyści i dobrodziejswa sprowadza do zera. Niesłychanym bowiem w praktyce i historji administracji państw europejskich jest fakt kojarzenia koncepcji samorządu z zasadą władzy niepodzielnej. Już sam pomysł zbudowania na gruncie najazdu i absolutyzmu rosyjskiego, szykan i prześladowań, bezprawia i niewoli, gmachu miejskiej samodzielności administracyjnej poważnie traktowanym być nie może. Samorząd lokalny nabiera bowiem rzeczywistej wartości dopiero na ogólnym gruncie swobód i wolności obywatelskich, kiedy ogólne normy konstytucyjne stoją na straży interesów samodzielnych instytucji administracyjnych miejskich, kiedy niezależne sądy potrafią rozstrzygać sprawy o przekroczeniu atrybucji urzędów administracyjnych państwowych. Samorząd miejski jako instytucja przynosząca korzyści i dobrodziejstwa, rozwinąć się mógł jeno na ogólnym gruncie wolności angielskich, w konstytucyjnym podłożu szwajcarskim i francuskim. Już nawet w Niemczech, zwłaszcza zaś w Prusiech, niema tej wartości, ze względu na to, iż centralne urzędy administracyjne są w stanie wpływać wedle swej myśli na bieg spraw samorządnych, czego dowodem służyć chociażby może głośna w swoim czasie sprawa burmistrza Schückinga. Cóż dopiero mówić o stosunkach panujących w Rosji; jakiż gmach samorządnych instytucji powstać może na bagnistym gruncie niewoli i upodlenia w caracie? Każda zdrowa myśl, każdy pożyteczny cel, dobry czyn i chęć rad miejskich, o ile nie będą odpowiadały interesom kliki urzędniczej, będą w zarodku tłumione przez tak zwane gubernjalne urzędy do spraw gospodarki miejskiej lub przez gubernatorów. Wprawdzie projekt ustawy samorządnej przewiduje możliwość odwoływania się do senatu; zależność jednak i tendencyjność orzeczeń tego najwyższego urzędu sądowego i administracyjnego rosyjskiego są przecież powszechnie znane. To też nie może być wątpliwości co do te-

go, iż słuszność przyznaną zawsze będzie państwowym urzędom administracyjnym.

Samorządna gospodarka miejska, bez istnienia zasadniczych wolności obywatelskich, bez gwarancji konstytucyjnych, bez niezależnego sądownictwa, przy jednoczesnym istnieniu stanów wyjątkowych, stałym jeszcze funkcjonowaniu sądów wojennych, jest politycznym oszustwem, które jeno zła wola podnosić może do godnoci poważnej reformy administracyjnej, które wyłącznie polityczna krótkowzroczność uważać pozwala za istotną i trwałą zdobycz polityczną.

W naszym ale życiu politycznym są grupy i stronnictwa, w których polityczna ciemnota łączy się ze złą wolą. One to podnosiły znaczenie projektowanego samorządu do potęgi poważnego sukcesu, na rządzie zdobytego. Nikłą wartość marnawej reformy administracyjnej usiłowały zwiększyć i nadać jej walor prawnopaństwowej zdobyczy. Wszak spotykaliśmy na łamach pism narodowo-demokratycznych i ugodowych głosy, które wprawdzie pomiędzy wierszami twierdziły, że samorząd w Królestwie toć to kawał autonomji krajowej. Wszak codziennie prawie organy prasy ugodowej i narodowo-demokratycznej zapewniały niewyrobione rzesze swoich czytelników, że samorząd to udział społeczeństwa w rządach, to oddanie ze strony rządu rosyjskiego w ręce społeczności polskiej całej polityki szkolnej i handlowo-przemysłowej.

Fałszywe przedstawienie faktycznego stanu rzeczy przez N. Dem. i jej prasę miało jeden określony cel na widoku. Chciano przez podnoszenie wartości Stołypinowskiej „reformy“ spłacić względem swych wyborców wszystkie zobowiązania, jakie w czasie ostatnich lat czterech poczyniono. Chciano szerokie koła wyborców przekonać, że chociaż samorząd miejski to niezupełnie to samo co cała autonomja, ale w każdym razie to kawał autonomji, to również zdobycz, która pozwoli rządzić w pewnych ośrodkach i pewnych sprawach, mających ogólne znaczenie i wartość.

Całej tej grze zaszkodziło bardzo stanowisko rządu. „Ministerjum spraw wewnętrznych, — mówił na pierwszym posiedzeniu zarządu do gospodarki miejskiej*) Stołypin, — wzięło za podstawę ustawę miejską z r. 1892, miało jednak na względzie, że wprowadzając samorząd w miastach z przeważającą kulturą polską, należy zabezpieczyć prawa polityczne państwa, uchronić nowe instytucje od dążeń autonomicznych i zaopatrzyć obywateli rosyjskich niezależnie od woli większości w prawo uczestniczenia w samorządzie miejskim. Mam nadzieję, mówił pod koniec Stołypin, że obrady Panów tutaj, a następnie zastosowanie nowego prawa na miejscu, będą dowodem uczciwego dążenia ludności polskiej do skorzystania z dobrodziejstw samorządu, do którego ma ono prawo ze względu na swą wysoką i własną kulturę, ale bez ubocznej myśli obrócenia samorządu w oręż dla prowadzenia walki politycznej lub środek dla osiągnięcia autonomji politycznej“.

Przemówieniem swoim scharakteryzował Stołypin zupełnie wyraźnie istotną treść samorządu miejskiego. Zastosowanie bowiem nowej ustawy nie będzie wcale ustępstwem wywalczonym na rządzie, ani też kompromisem między rządem a społeczeństwem, jak to miało miejsce w Europie Zachodniej. Jest tylko przejawem działalności rosyjskiego „gabinetu reform,“ chcącego przy pomocy tego rodzaju nie pół lecz ćwierć-środków oszukać opinję społeczeństwa polskiego oraz uśpić zagraniczne sfery bankierskie.

Celem dokładniejszego scharakteryzowania tej reformy Stołypinowskiej, ze względu oraz, że wobec zbliżającej się zimowej sesji dumskiej staje się ta kwestja w naszym życiu politycznym sprawą aktualną, zatrzymamy się bliżej nieco na ważniejszych punktach projektu.

---

*) Jest to instytucja urzędnicza przy ministerjum spraw wewnętrznych, w skład które wchodzą również i delegaci ziemstw rosyjskich.

LEON WASILEWSKI.

# O CHEŁMSZCZYZNĘ.

Sprawa oderwania od Królestwa Polskiego wschodnich powiatów gubernji lubelskiej i siedleckiej jakoś zeszła z porządku dziennego w prasie polskiej. Po wiecach demonstracyjnych i gorących artykułach dziennikarskich, wywołanych zjawieniem się potwornego projektu rządowego, zapanowała cisza. Nie należy jednak przypuszczać, aby cisza ta była usprawiedliwiona jakimś cofnięciem się rządu i nacjonalistów rosyjskich z raz zajętego stanowiska. Przeciwnie i rząd i Bobrzyńscy wraz z Eulogjuszami nie zaniedbują nic, coby mogło przyśpieszyć chwilę oderwania Chełmszczyzny. Jak pisze jeden z heroldów nacjonalizmu rosyjskiego, osławiony prof. Filewicz, gdzie się zbierze czterech Rosjan, tam się natychmiast omawia kwestję Chełmszczyzny. A działacze miejscowi z pod komendy Eulogjusza rozwijają szaloną agitację wśród ludu Chełmszczyzny w kierunku antypolskim i antyukraińskim.

Raz wraz spadają na ten kraj męczeński nowe zarządzenia, wymierzone przeciwko kulturze polskiej. Zawieszenie włodawskiego towarzystwa rolniczego, zniesienie wykładów polskich w prywatnej szkole średniej w Białej, obostrzenie zakazów, dotyczących języka polskiego w korespondencji i księgowaniu instytucji prywatnych, wszystko to są środki, coraz bardziej wyodrębniające Chełmszczyznę i ułatwiające ostateczne jej oderwanie. Rząd i nacjonaliści rosyjscy dążą do tego, aby — zanim nastąpi ostateczna likwidacja stosunku skazanych na rusyfikację powiatów do reszty Królestwa — zapanował u nich ład taki, że przyłączenie nowej gubernji do „kraju południowo-zachodniego“ stałoby się tylko formalnością czysto technicznej natury.

Wobec tego należy się wdzięczność Redakcji „Ekonomisty“ warszawskiego, która świeżo puściła w świat niedużą pod względem rozmiarów, niemniej

bardzo cenną pracę p. Stefana Dziewulskiego, rzucającą snop jasnego światła na machinacje rządu carskiego w sprawie oderwania Chełmszczyzny. *)

P. Dziewulski poddaje druzgocącej krytyce te cyfry projektu rządowego, który z zuchwalstwem, cechującym stupajków carskich — jego autorów — twierdzi, że „wytworzona nowa gubernja, według swego składu ludności, będzie niewątpliwie gubernją rosyjską, nie odróżniającą się niczym pod tym względem od najbliższych gubernji kraju Zachodniego t. j. gubernji grodzieńskiej i wołyńskiej.“ Pomijamy już to, że projekt rządowy utożsamia ukraińską i białoruską ludność dwuch wzmiankowanych gubernji z Rosjanami, których tam jest zaledwie garstka. Ale, gdybyśmy się nawet zgodzili na uznanie za słuszną tej niedorzeczności filologiczno-etnograficzno-historycznej, to i tak powyższe twierdzenie projektu rządowego okaże się kłamstwem bezczelnym, jak to niezbicie dowodzi p. Dziewulski.

Autor broszury omawianej stwierdza, że o przewadze ludności prawosławnej na przyszłym terytorjum wyodrębnionej Chełmszczyzny (obejmującej dwa całe powiaty — bielski i hrubieszowski — z 28 gminami, 56 całych gmin, wyciętych z dziesięciu powiatów oraz 24 gminy niecałe) niema mowy. Stanowi ona bowiem tam 38 prc. Wobec tego w motywach projektu nigdzie nie położono specjalnego nacisku na przewagę wyznania prawosławnego, czym stale operuje rosyjska prasa nacjonalistyczna. Projekt rządowy wypowiada i usiłuje uzasadnić pogląd, że gubernja lubelska i siedlecka w powyższych swych częściach są krajem „odwiecznie rosyjskim“, w zachodniej części już bezpowrotnie spolonizowanym, we wschodniej zaś upadającym pod brzemieniem agrarnej walki, jaką polskość i katolicyzm systematycznie i z zaciekłością prowadzą. Projekt więc ma na celu — wesprzeć w tej walce słabszych i zachować dla kościoła prawosławnego i narodowości rosyjskiej to, co jeszcze dla nich zachowane być może. Wyłączeniu więc podlegać mają te miejscowości, w których bądź to przeważa wyznanie prawosławne, bądź też przeważa język, świadczący o przynależności narodowej ludności.

W ten sposób obok sprawdzianu wyznaniowego, mamy sprawdzian narodowo-językowy. Zachodzi teraz pytanie, skąd zaczerpnięto wiadomości o charakterze narodowo-językowym mieszkańców przyszłej, wyodrębnionej Chełmszczyzny? Rosyjska statystyka urzędowa, reprezentowana w Królestwie przez Warszawski Komitet Statystyczny, statystyki narodowo-językowej nie prowadzi, nie uwzględnia różnic wsi, przyjmując za najmniejszą jednostkę terytorjalną gminę. Rząd więc w swoim projekcie nie opierał się na danych urzędowych, bo tych nie posiada, ale sięgnął do źródła prywatnego.

Źródłem tym są dane, wprowadzone przez fanatycznych popów prawosławnych z głównej organizacji czarnosecinnej — „Chełmskiego bractwa św. Bogarodzicy.“ Rozpatrując się w elaboracie prof. uniwersytetu warszawskiego, W. Francewa, wydanego przez wzmiankowane bractwo, p. Dziewulski dochodzi do wniosku, że cyfry, jakimi operuje ten profesor, a cyfry projektu rządowego są identyczne. Francew zaś nie ukrywa źródła cyfr, które mu posłużyły do sporządzenia elaboratu o stosunkach Chełmszczyzny i dodanych do niego map.

P. Dziewulski, stwierdziwszy identyczność cyfr projektu rządowego z danymi prof. Francewa, poddaje je dokładnej analizie i udowadnia, że są nietylko kłamliwe, niewiarogodne, tendencyjne lub z palca wyssane, ale niekiedy wprost wkraczają w dziedzinę humorystyki. Udowadnia przez żmudne zestawienie cyfr, pochodzących z różnych źródeł, skrupulatne obliczenie i sprawdzanie istniejącego materjału, łapiąc szanownego profesora bądź na głupstwach, jak wykazywanie cyfrowe, że w pewnej wsi w każdym domu mieszka po 0. 8 człowieka, bądź na rażących sprzecznościach.

We wnioskach ostatecznych p. Dziewulski konstatuje, że nawet wyznaniowa mapa Francewa pokazuje w sposób poglądowy, że na terytorjum Chełmszczyzny gminy z przewagą ludności prawosławnej nigdzie nie stanowią zwartego terytorjum i że skutkiem tego wykrojenie jakiegokolwiek terytorjum z przewagą ludności prawosławnej jest zupełnie niemożliwe. Tażsama mapa dowodzi, że na terytorjum projektowanej gubernji ludność katolicka jest elementem silnie przeważającym i że jej „rosyjskość“, nawet w tym sensie, jaki temu wyrazowi nadaje nacjonalizm wielkoruski, jest fałszem bezczelnym.

Broszura p. Dziewulskiego, zaopatrzona w trzy bardzo pouczające mapki, zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie. Wczytawszy się w nią bowiem widzimy jasno, jak strasznym i nieludzkim gwałtem będzie oderwanie Chełmszczyzny. A trwałe uświadomienie sobie tego przez jaknajwiększą liczbę ludzi stanowczo wyjdzie na korzyść społeczeństwu polskiemu, tak skłonnemu do słomianego zapału.

*) Stefan Dziewulski. Statystyka projektu rządowego o wyodrębnieniu Chełmszczyzny w świetle krytyki. Warszawa 1910.

Dr. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

# JAK BELGJA STAŁA SIĘ PAŃSTWEM.

I. Gieografja polityczna tym się różni od gieografji fizycznej, że podczas gdy ta ostatnia ma do czynienia ze zjawiskami bardzo długotrwałymi, a na krótszą metę prawie niezmiennymi, to zjawiska, którymi się polityczna gieografja zajmuje, ulegają zmianom nadzwyczaj szybkim i częstym. Fizyczna mapa Europy tysiąc lat temu, z niewielkimi odchyleniami, wyglądała tak jak dzisiaj; natomiast polityczna mapa Europy już od stu lat zmieniła się do niepoznania.

W szczególności, podczas gdy podstawowe zjawiska fizycznej gieografji, takie jak góry, doliny, rzeki, jeziora, wyspy, nawet w ciągu tysiącleci zazwyczaj dość nieznacznym tylko zmianom ulegają, to podstawowe zjawisko gieografji politycznej: **państwo**, jest rzeczą w wysokim stopniu zmienną, tak co do wewnętrznej swej treści, jak i co do zewnętrznych swych granic w przestrzeni. Jest to niezmiernie rzadkim wyjątkiem, aby pojedynczy człowiek mógł się poszczycić, że za jego żywota powstała góra albo wyspa, gdzie jej przedtym nie było, albo znikło jezioro, po którym jako młodzieniec jeszcze pływał; natomiast w obecnej dobie, każdy pode-

szłego wieku Europejczyk może się pochwalić, że za jego życia przybyło w Europie z pół tuzina nowych państw niepodległych, których przedtym niebyło, albo które przedtym niebyły niepodległymi,

Jednym z ciekawszych procesów dziejowych wspomnianego rodzaju jest utworzenie się państwa belgijskiego. Dziś każdy sztubak wie, gdzie się to państwo znajduje; osiemdziesiąt lat temu niebyło go wcale. Znaczy to, że każdy osiemdziesięcioletni starzec w Europie jest starszym od państwa belgijskiego.

Przypomnijmy sobie historyczne przesłanki tego zdarzenia.

Od 1477 r. Niderlandy całe, od francuskiej granicy aż po wyspy fryzyjskie, pozostawały pod berłem austryjacko - niemieckiej dynastji Habsburgów, która niebawem i na hiszpańskim tronie zasiąść miała. Od 1556 r. zaś Niderlandy były pod wyłączną władzą hiszpańskiej linji Habsburgów w osobie Filipa II. Za jego rządów zaczął się w Niderlandach krzewić protestantyzm tępiony przez Filipa ogniem i mieczem. Wybuchło powstanie; północna część Niderlandów, nawskróś germańska i protezstancka, ogłosiła się w 1581 r. niepodległą i pozostała nią. Natomiast południowa część kraju, o ludności katolickiej a po części mówiącej francuskim narzeczem, dała się ująć ustępstwami i pozostała przy Hiszpanji. Odtąd południowe Niderlandy pozostały hiszpańską prowincją aż do wymarcia Habsburgów hiszpańskich w 1700 r., poczym prowincję tę w dziedzictwo objęli austryjaccy Habsburgowie. Pod ich berłem i nadal Niderlandy południowe pozostały niesamodzielną, posłuszną prowincją, rządzoną przez namiestników nadsyłanych z daleka: sejmiki szlacheckie poszczególnych ziem skromniutki tylko w rządach krajowych udział brały. Pod względem religijnym niebyło rozwoju; był to kraj całkowicie opanowany przez klerykalizm rzymski. I dla sztuk pięknych był to okres zastoju; sławni na całą Europę malarze flamandzcy z początków 17. wieku, jak Rubens i Van Dyk, coraz mniej godnych siebie znajdowali następców. Nie doszło też do zjednoczenia kraju pod względem językowym; podczas gdy w południowej połaci kraju wyłącznie panował język francuski, to w północnej połaci tylko szlachta i inteligiencja tym językiem władała, cały lud zaś, wiejski i miejski, mówił po flamandzku — to znaczy faktycznie tym samym narzeczem dolnoniemieckim, które w sąsiedniej Holandji już w 16. wieku wzniesiono do godności mowy literackiej. Cechą wewnętrznego życia „Niderlandów austryjackich“ była bierność; natomiast, ile razy wybuchła wojna francusko-austryjacka, albo też wojna Francji i Austrji przeciwko Anglji i Prusom — a było tych wojen niemało — za każdym razem Niderlandy austryjackie były terenem harców dla obcych wojsk, pola bywały pustoszone, śpichlerze grabione, miasta oblegane, porty zamknięte. Niedarmo powiedziano, że kraj ten był pastwiskiem, gdzie się kolejno pasły konie wszystkich wojsk Europy. Belgja (tak ją bowiem podówczas nazywać zaczęto) była krajem niejednolitym, a do niewoli przywykłym; aby ludność tego kraju pobudzić do samodzielnego czynu zbrojnego, na to trzeba było czegoś całkiem niezwykłego, co i najbardziej zahukanego flegmatyka z równowagi wytrącić potrafi – czegoś nakształt dziesięciolecia samowładnych rządów doktrynera.

Doktryner ten znalazł się w osobie austryjackiego cesarza Józefa II., w jednej osobie zapalonego liberała, centralisty i germanizatora, który jak wszędzie w państwie swoim, tak i w Belgji bezwzględnie usuwał ostatnie szczątki samorządu stanowego, a jednocześnie drażnił katolicką ludność Belgji narzucaniem reform antyklerykalnych, w samej rzeczy słusznych i pożytecznych, ale do których ludność ta nie dorosła. Prawdopodobnie i przykład zbrojnej rewolucji i kontrrewolucji w sąsiedniej Francji przyczynił się do wzburzenia umysłów; dość, że w 1790 r. wybuchło w Belgji zbrojne powstanie. Ludność wypędziła z kraju załogi austryjackie, a przedstawiciele jej radzili w Brukseli nad konstytucją dla „Zjednoczonych Stanów belgijskich“. Ale w tymże roku cesarz Józef II. umarł; brat jego i następca Leopold cofnął niepopularne jego zarządzenia. Ruch ludowy w Belgji przycichł, a wojska austryjackie wróciły do kraju.

Nie na długo wróciły. Bo oto Francja rewolucyjna, zagrożona w bycie swoim przez sprzymierzone przeciw niej monarchje Europy, przeszła do najskuteczniejszej formy samoobrony: do walki zaczepnej. W 1792 r. wojsko francuskie zajęło Belgję. Odtąd, pominąwszy krótkie epizody wojenne, Belgja przez dwadzieścia dwa lata pozostała pod rządami francuskimi. Rządy te mimo początkowych pięknych słówek o „wolnej Francji, wyzwalającej bratnie narody“, były samowolne, tyrańskie i znienawidzone; nie brakło nawet łapownictwa i jawnej grabieży. Niemniej francuscy władcy znieśli mnóstwo przestarzałych urządzeń, a przyzwyczaili ludność do równości wszystkich obywateli wobec prawa, do wolności zgromadzeń i prasy, tudzież do sądów przysięgłych. A są to rzeczy, od których trudno odwyknąć, kiedy się je raz posiadło.

Nie liczył się z tym nowy władca, któremu z łaski sprzymierzonych mocarstw europejskich Belgja przypadła w udziale w 1814 r., po upadku Napoleona. Tym nowym władcą był Wilhelm książę Orański, potomek rodziny, która od ćwierćtysiąca lat przodujące w Holandyi miejsce zajmowała, a obecnie król Niderlandów, sięgających znowu, jak w 15. wieku, od francuskiej granicy aż po wyspy fryzyjskie. Albowiem mocarstwa, celem unieszkodliwienia Francji, pragnęłyby jej i od północy dać sąsiada dostatecznie silnego, aby mógł poważny opór stawić najazdowi. Dlatego to Wilhelmowi do rodowitej jego Holandji dodano i Belgję, i to nie jako odrębny kraj o odrębnych instytucjach, tylko jako poprostu „powiększenie terytorjum“ holenderskiego. Król był więc Holendrem, rząd jego z Holendrów się składał, stała rezydencja króla i rządu była w Holandji, król i doradcy króla wszystkimi korzeniami uczucia, tradycji oraz interesów w Holandji tkwili. Znaczy to, że Holandja stała się krajem panującym, a Belgja zdobytą prowincją. Skutki tego stosunku niebawem się ujawniły.

(C. d. n.)

MIECZYSŁAW RETTINGER.

# POWIESCI ZAPOLSKIEJ.

## (»SZALEŃSTWO«, »ŚMIERĆ FELICJANA DULSKIEGO«, »O CZYM SIĘ NIE MÓWI«, »KAŚKA KARJATYDA« WYD. II. »WODZIREJ« WYD. II.)

Nie jeden raz pisała Zapolska o żmudzie życia i niemożności zrozumienia siebie samego. W zwrotnych przejściach ludzi Zapolskiej budzi się stałe i nieodmiennie najszczersze ze wszystkich pragnień, pragnienie ciszy. I najartystyczniejsze odczucia, jakie przeżyliśmy przy obcowaniu z księżniczkami Zapolskiej, to były pełne zorzanego smętku ustępy o tęsknocie za spokojem. Nie jest i nie było to nigdy równoznaczne z chęcią unicestwienia się, z wyznaniem wiary o „tamtej stronie" dobrego i złego. W ludziach Zapolskiej tkwi pierwiastkowo zdolność odradzania swego życia, nawiązywania starganych nici z siłą świeżo w szranki wstępujących. Jeśli w twórczości Zapolskiej spotykamy dwa przykłady niszczenia osobowości bez próby reintegracji — to służą one pisarce do wykazania, że najcięższą krzywdą jest właśnie wycięcie wszystkich korzeni żywotnych, a moralnym prostym samobójstwem jest zupełne uniemożliwienie odnowienia sił duchowych dzięki socjalnemu (nie erotycznemu czy intellektualnemu) położeniu ofiary („Mężczyzna", „Jak tęcza").

Zapolska nie zna uczucia świętości życia. Jej litość i oburzenie wywodzą się z pragnienia zdzierania illuzji, burzenia kłamstw konwencjonalnych. Jej poczucie etyczne jest zawsze prostolinijne. Zmysł rzeczywistości nie zawiódł jej nigdy. Była pierwszą, która utrzymywała, że życie karmione prawdziwą sztuką w konsekwencji rozbić musi mury społecznej budowy. Wogóle u podstawy pism Zapolskiej napotyka się na kombinację „burzy i naporu" z płytką a nieproduktywną stagnacją w pracy wewnętrznej.

Odwaga Zapolskiej w pokazywaniu, jak wygląda uwolniona od męskich wzorów wyobraźnia kobieca, jest godna szacunku, choć właściwie nie wyszła poza stadjum gieneralnej próby. Kobiety Zapolskiej spożywając owoce, nie troszczą się o korzenie drzewa i karmią się złem nieświadomie. Próby zła w książkach Zapolskiej nie tyle deformowały, ile transformowały wrażenia. Posłuszeństwo tajemnej zasadzie instynktu wbrew nauczonym obowiązkom i przymusowym sytuacjom dla poznania jakiegoś najszczerszego przejawu sprowadza postaci Zapolskiej do niewielkiej ilości typów, do których sprowadzić można wogóle wszystkie niesprawdzalne walki gatunku. Nie transponowała tych walk na wysokie tony metafizycznej grozy ani nie przerywała granic skończoności fizycznej zboczeniami wyobraźni, czy anormalnościami ciała. Zasadniczym brakiem pism Zapolskiej jest nieobecność wewnętrznego celu, któryby w stopniowaniu odczuć i gromadzeniu jakości materjału odegrał rolę kierowniczą.

I pomimo wszystko artystyczne uposażenie Zapolskiej było tak znaczne, że większość jej powieści nie jest pomyłką, nie jest — w szczególności — publicystyką, uprawianą w formie belletrystycznej. Umysłowość Zapolskiej wymaga ciągłego potwierdzania swej siły przez rozwój akcji. Nie zna ona i nie znała nigdy przeszkód wewnętrznych, w których zmaga się niekiedy podwójny błąd artysty: czynu i użycia. Niezależność dwóch tych elementów od siebie, raczej świadomość tej niezależności była udziałem nielicznych.

Osią pism Zapolskiej jest wykazanie, że życie wychowuje nas w sposób mniej lub więcej brutalny, do t. zw. pogodzenia się z losem. Nigdzie tego przymusu nie wykonuje się z takim wyrafinowanym aparatem okrucieństwa, jak w erotycznym stosunku kobiety do mężczyzny. W stosunku erotycznym zwycięża zawsze większa znajomość (hypochondrycznie nieraz akcentowana) sposobów niszczenia wszystkich piękniejszych możliwości. A więc olbrzymią ilość klęsk ponoszą kobiety. Nie posiadają niemal całkiem szans wygranej nie tylko z powodu uwarunkowań społecznych, ale głównie z powodu przypadków, którym podlega ich nieświadomość. Przypadek czy to bezwoli, czy strachu, czy wstydu jest najczujniejszym zmysłem Zapolskiej jako psychologa. Zadzierżgnęła ona niejedną sieć, z której wymknęła się na razie osaczona kobieta (Fin' de siecle' istka), aż przypadek wpędził ją znowu w sidła, z których już niema powrotu. Osobowość kobiety winna trwać tak długo przynajmniej, jak miłość — oto postulat Zapolskiej. Całkiem oryginalnie wysnuwa go z uczucia tego samego, które popycha jej bohaterki w ostateczność. Choć niejeden fałszywy ton przebrzmiał dawniej w podobnych rozrachowaniach Zapolskiej, ostatnie powieści jej rozegrały się w skończonym i zamkniętym świecie, w którym załamanie się godności kobiecej miało wartość przeżycia przez nas odrębnej rzeczywistości, własnymi postanowieniami rządzonej.

Treścią „szaleństwa" jest zmaganie się dwóch sił, równie do zajmowania naczelnego miejsca w życiu kobiety uprawnionych: odpowiedzialności i kochania. Tragizmem Reny Brzeziewiczowej było zwikłanie w gordyjski węzeł obu motywów. W jej najszczerszym wnętrzu tkwi głębokie poczucie odpowiedzialności za czystość owego porywu miłosnego, który daje jej dziecko. Pokutę za winę naznaczyła sobie jak najcięższą, byle wykryć, że nie sprzeciwiła się grzesznie swojemu kochaniu. Należała równocześnie do męża i „kochanka".

Rena Brzeziewiczowa nie wie, czyim jest jej dziecko: nieprawdziwego (bo niekochanego) męża, czy nieprawdziwego (bo chwilowego, w szaleństwie poznanego) kochanka. Najistotniejszy problem miłości, owa rzeczywista „dwójjedność" została tu rzucona na łup kaprysu bez przeczucia odpowiedzialności. Jej dziecko było więc dzieckiem samicy, nie kobiety-człowieka. Jakąż rolę ona sama w fizjologicznym procesie odegrała? Rena rozumiała, że jedynym rozwiązaniem etycznym było tu podniesienie „szaleństwa" (owej jednej chwili) do znaczenia elementu życiowego. Czyni to przez śmierć swoją, wywołaną przez szaleńczą jazdę na nieujeżdżonym koniu.

Mgła tysiącznych warjacji na temat wydoskonalenia jednej pozy spowiła Muszkę Maleniową z „Wodzireja“. Usuwając z niej wszelką możność wewnętrznego rozwoju, dawała jej niezwruszoną pewność siebie, pochodzącą z zupełnego zwątpienia. Maleniowa wyrażała zazdrość życia. Istniała tak dla siebie jak i dla innych w chwiejnej linji nastroju. Zmuszała wszystkich do pokłonu, na przecięciu kilku istnień utwierdzała swe istnienie, raczej jego piękno. Był w niej egoizm, który rośnie przez chorobliwe poczucie odrębności, spotworniały seksualnym zboczeniem. Maleniowa była daltonistką, dostrzegającą barwę jedną, a inne uważającą za szare cienie i tło bezbarwne, objaśniające odczucie główne, właściwie bezwartościowe i banalne. Rachiede — największa z współczesnych powieściopisarek — w ten sposób także stawiała kwestję (np. Animale). „Wodzirej“, najpospolitszy z aranżerów, byłby pospolicie nudny, gdyby nie stylowa partnerka, która grę zaczęła i wygrała.

Powiedziano niedawno, że dotychczasowa literatura kobieca była pośrednią lub bezpośrednią nieuczciwością. Myśl ta przesiąknęła twórczość Zapolskiej z widocznym zyskiem dla zasadniczej walki, którą się prowadzi o kobietę — samą w sobie.

E. K.

# OBRAZKI Z BELGJI.

Bruksela, 15. listopada.

Dziwny to kraj. Wciąż Polskę przypomina. Każdą swą manifestacją ludową, każdym czynem społecznym, każdym słowem publicznym.

Przeląkł się kler belgijski światła bijącego z uczelni świeckich prowincji Hainaut. Jest tam niezwykła instytucja, „L' Universite de Travail“, jest mnóstwo szkół przymysłowych i rzemieślniczych, ochronek, seminarjów nauczycielskich, szkół dla ociemniałych...

Już w kwietniu r. b. cofnięto tym szkołom subsydja rządu klerykalnego.

Tak się dziwnie złożyło, że kler katolicki ruszył i u nas do szturmu na Kruszynek. Tak się dziwnie złożyło. Jeno, że u nas z trudem ocalono placówkę kultury polskiej przed kleszą czeredą barbarzyńskich Macochów. A i tak Kruszynek bokami robi.

A tu, w Belgji: Rada Prowincjonalna przejęła wszystkie wydatki na szkoły, wezwała Belgję opozycyjną do wielkiej, wspólnej manifestacji na dzień 6 listopada do Charleroi.

U nas ewangelik p. Benni pośpieszył cmoknąć zbrudzony pierścień Popiela, społeczeństwo całe wydarło się na wiele małych grup i grupek przeciwko i za Kruszynkiem.

Tu przeszło 100.000 ludzi na ulicach Charleroi manifestowało zalewając miasto całe olbrzymim pochodem, gdzie ciało profesorskie stołecznego uniwersytetu, senatorowie, deputowani, studenci i gimnazjaści, robotnicy, chłopi, tysiące sztandarów i plakatów, setki orkiestr, szło, szło przez 1 i pół godziny.

Zawarto sojusz liberałów z socjalistami w obronie zagrożonego szkolnictwa.

Trybun socjalistyczny, Vandervelde, urbi et orbi ogłosił hasło „burżuazyjne“ z 1830 roku: L' union fait la force.

My w Królestwie życia wolnego nie mamy. To prawda. A w Galicji, w „polskim Piemencie“?

* * *

Tak się dziwnie złożyło. Gdy konsulat rosyjski zażądał od rządu belgijskiego wydania robotnika Gaivasa, oskarżonego o dokonanie prywatnej eksproprjacji w gub. Charkowskiej, socjalistyczne i liberalne pisma zajęły zgodnie nieubłagane stanowisko:

„Rządowi Hartingów i Azefów nie wolno wierzyć, nie wolno wydawać nikogo“.

„W walce z takim rządem wszystkie środki są uprawnione i dozwolone“ zadeklarował wiec publiczny, zwołany przez Ligę Obrony Praw Człowieka.

U nas w konstytucyjnej, autonomicznej Galicji urządza się obławy nocne na Królewiaków w Krakowie, grozi się wydaleniem 75-cio letniego starca czcigodnego, którego życie, jako kryształ czyste, jak rubin krwawe, jak stal damasceńska gięte a nieugięte w służbie o wyzwolenie ludu i narodu. — I gdy młodzież uniwersytecka strejk urządza manifestacyjny przeciwko tym gwałtom polskim na polakach spełnianym, „rodacy“ od Głąbińskiego i Grabskiego, „grabią“ manifestacyjnie wykłady w dniu oznaczonym.

U nas w polskim Piemoncie!

* * *

Tak się to dziwnie złożyło. Od lat dziesiątka krajem belgijskim rządzi ministerjum klerykalne dzięki oszukańczemu systemowi wyborów. Dziś blok liberalno-socjalistyczny ma o 134.000 głosów więcej, niż klerykali, a jednak większość rządowa w parlamencie sięga 6 głosów.

Reforma wyborcza stała się hasłem, myślą, czynem mas całych.

Żaden parlament na świecie, żaden król „konstytucyjny“ nie zniósł by takiego otwarcia „ulicy“ i sesji, jakie miało miejsce w Belgji 7. listopada.

Zwarta opozycja uderzyła w twierdzę rządową.

U nas w tym czasie wykańczano na gwałt ostatnie zakulisowe szacherki sejmowe z konserwą. Najbardziej „opozycyjny“ poseł zmęczył się był grą na kilku instrumentach muzycznych.

* * *

„Mamusiu", pytał następca tronu, 11 letnie książątko, dlaczego „oni" tak krzyczą? Mamusiu, dlaczego? Ja się bardzo boję!

W parlamencie belgijskim królowa z dziećmi czeka na przybycie męża swego, Alberta I. zatrzymywanego na ulicach przez tysiączne tłumy.

„To są panowie deputowani, przedstawiciele narodu, Domagają się oni reformy, reklamują, chcą zmian". — „A dlaczego krzyczą tak głośno?"

„Dziecko moje, przecież i ty, jak ci czego nie daję długo, to krzyczysz, prawda? Nie trzeba się lękać wcale, patrz nawet ten, najenergiczniejszy, ten czarny, łysy pan, on jest ich mowcą najlepszym, nic ci złego nie uczyni", uspokaja pociechę złotowłosą królowa.

Wchodzi król. Spada śnieg kartek: „Vive le suffrage universel pur et simple! Dissolution!"

„O, jakie ładne karteczki mamusiu, zupełnie ojcu ordery zakryły!" woła uśmiechnięty królewicz.

* * *

Tak się uczy przyszły król Belgów — roi des Belges.

* * *

Na carskim „Sztandarcie" zabawa. Galówka. Majtkom wydano podwójne racje wódki.

Cesarzewicz oka nie spuszcza z pijących, cieszy się, gdy który duszkiem-haustem wychyli czarkę. — Gniewa się i płacze, gdy majtek smakuje wódkę. — „Pij odrazu, pij odrazu!"

„Mamusia" z jakimś flag-kapitanem — „tatuś" z frejliną Taniejewą...

Najulubieńsza zabawa cesarzewicza poza „czehardą", waleniem w bęben i maszerowaniem z małym karabinkiem.

* * *

Tak się uczy nakaźny ataman wojsk kozackich, przyszły car Wszechrosji, przyszły „Król Polski", przyszły „Wielki książę litewski".



# Z KRAKOWA.

Kraków, 15. listopada.

(T.w.) W murach krakowskiej *Almae Matris* niezwykłe roznamiętnienie. Młodzież uniwersytecka, socjalistyczna, ludowa i narodowo-demokratyczna zgodnie postanowiła nie dopuścić do przykrego kompromitowania nauki polskiej w oczach świata cywilizowanego. Mianowicie świeżo mianowany profesor ks. Zimmermann, ogłoszony wybitnym „chrześcijańskim socjologiem" wykroczył poza swój wydział teologiczny i zapowiedział wykład o stosunkach ekonomicznych w W. Ks. Poznańskim *publice*, chcąc nim uraczyć ogół młodzieży i niejako zadokumentować przez to, że uważa się za właściwego profesora nauk społecznych. Wesołe to a smutne zarazem, jak autor kilku bezpretensjonalnych broszurek agitacyjnych (habilitacyjnym dziełem tego „socjologa chrześcijańskiego" jest broszura o 28 str. druku p. t. „O zadaniach społecznych i potrzebie organizacji nauczycielek"!) chce przed światem reprezentować polską socjologję. Młodzież postępowa wydała odezwę z protestem przeciwko temu, by ogółowi młodzieży narzucał się człowiek, który w myśl rozporządzenia Piusa X. do końca grudnia złoży przysięgę, że będzie się trzymał dosłownie każdego dogmatu rzymskiego i każdej encykliki papieskiej. Osobna deputacja od ogółu młodzieży zwracała rektorowi uwagę na niestosowność takiego zachowania się ks. Zimmermanna. Wykład pierwszy, który miał się odbyć we wtorek 15 b. m., nie doszedł do skutku, gdyż kilka setek młodzieży nie dopuściło ks. Zimmermanna do głosu. Nie pomogła irytacja zmobilizowanych klerykałów, których do bitki wzywał sam szlachetny „socjolog" okrzykami: „Śmiało! tylko siłą!" Olbrzymia sala wykładowa Kopernika przez godzinę odbrzmiewała krzykami, gwizdami i śpiewami. Wreszcie ks. Zimmermann ustąpił, a młodzież, odbywszy wiec doraźny, uchwaliła rezolucję, domagającą się wydzielenia wydziału teologicznego z uniwersytetu, jakoteż wzywającą ks. Zimmermanna, by ograniczył się do wykładów dla teologów. Wśród ogólnego zapału postanowiono bezwarunkowo nie dopuścić do dalszego ciągu „socjologicznych" jego wykładów.

Cała ta akcja wolnomyślna zjednoczyła młodzież kilku odcieni politycznych pod znakiem walki z klerykalizmem, przynosząc chlubę młodzieży krakowskiej, iż przeciwdziała skutecznie haniebnemu postępowaniu starych reakcjonistów uniwersyteckich. Czekamy dalszych a pomyślnych rezultatów tej akcji.

# Z TYGODNIA.

AZEFJADA AUSTRYJACKA. Dni ostatnie były dla dyplomacji austryjacko-węgierskiej dniami najdotkliwszej kompromitacji. Oto radykał czeski, uczony profesor Masaryk, wystąpił w delegacjach z niesłychanie przykrymi dla hr. Aehrentala wiadomościami o pochodzeniu znanych z procesu Friedjunga sfałszowanych dokumentów, sfotografowanych rzekomo w archiwum belgradzkim. Fałszerstwa dokonano pono za wiedzą austro-węgierskiego posła w Belgradzie, hr. Forgacha; w każdym zaś razie obstalował fałszerską robotę urzędnik legacji, o nazwisku polskim — Świętochowski. Odpowiedź hr. Aehrenthala nikogo nie zadowolniła, nie osłabiła zarzutu. Gienjalny dyplomata, wspaniały partner Izwolskich, bezsilny stał drżąc ze złości naprzeciw skromnego profesora. W dobie dzisiejszej, gdy ludzie idei mogą niekiedy na sąd publiczny wyzywać ministrów, brudne środki mścić się zaczynają bardzo boleśnie..

Nie cieszymy się z kompromitacji polityki austro-węgierskiej. Stwierdzając moralną jej porażkę, przypominamy, że racją istnienia, trwania i siły monarchji nietyle są dreadnoughty, ani nawet karabiny maszynowe i nowe haubice — racją tą są swobody obywatelskie, demokracja, parlamentaryzm, nowożytny ustrój społeczny, w którym niema miejsca dla hańbiących procederów prowokatorskich w guście Azefa i hr. Forgacha.

NA STRACONYM POSTERUNKU. Bez boju, bez przegranej, po pierwszych na wiatr wystrzelonych nabojach, rejterują się galicyjskie stronnictwa z zajętych przed paru miesiącami pozycji w sprawie o budowę dróg wodnych. Boć nie o koncesyjkę idzie, nie o kolejkę do pańskiej stodoły, ani o dzierżawę lodowni.. Gdzież jest w sejmie stronnictwo, któreby łba chciało nadstawiać o przyszłość i odrodzenie gospodarcze kraju? Już oswoiło się społeczeństwo z myślą, że kanałów nie będzie, a odszkodowania także nie będzie... Obiecał to solennie polski minister skarbu, spadkobierca ideowej spuścizny po twórcy Towarzystwa Kredytowego i Banku Polskiego, po Lubeckim — ekscelencja Biliński. A myśmy dobrzy Polacy i ufamy Polakom-ministrom!

Na straconym posterunku pozostał jeden człowiek tęgiego charakteru i dobrej woli, pozostał zgoła nie stworzony na opozycyjnego trybuna czcigodny dyrektor Biura meljoracyjnego, niedawny nasz uprzejmy informator poseł Andrzej Kędzior. Przedłożył on sejmowej komisji wodnej referat, który w innym sejmie, a przedewszystkim w innym społeczeństwie byłby dla ministra Bilińskiego *„coup de grace“*, uczyniłby go niemożliwym, jako człowieka złej woli, działającego na szkodę kraju i państwa. Referat został przyjęty przez komisję, zaakceptowane zostały jego wnioski. Sejm ma żądać niezwłocznego wykonania ustawy. *Caeterum censeo* posła Kędziora... Giest sumienności obywatelskiej, ocalający w cząstce bodaj honor kraju i sejmu

Ale sejm? Ten sejm, gdzie konserwatywni wrogowie przemysłu są zarazem wrogami kanałów, gdzie lewica do żadnej opozycji nie jest zdolna, gdzie Stapiński jest *souffre — douleur* pana Bilińskiego, gdzie Rusini są przeciw kanałom ot tak sobie, z nadmiaru rozumu politycznego i na złość Polakom... Ach, jest postawiony wniosek nagły z podpisami 50 posłów! A na czele obok panów Kozłowskiego i Lea p. Stapiński, którego organ traktuje kanały jako — nieszczęście dla chłopa!

Lecz po tym sejmie przyjdzie sejm inny, inny mimo wszelkie potworności „reformy“ wyborczej. Przyjdzie zapóźno, by ocalić sprawę kanałów. Oce i przynajmniej zasługę człowieka, który bronił wytrwale straconego posterunku.

SPRAWA ŻULIŃSKA. Fatalnego rozgłosu nabrała w ciągu ostatnich dwóch tygodni sprawa, rozdmuchana do rozmiarów ruskiej Wrześni, sprawa ruskiego chłopca, Kahańczyka, którego na śmierć miał pobić polski nauczyciel Greis za odmowę modlenia się — po polsku. Rzecz znamienna, najbardziej skwapliwie pochwycono wieść tę w Rosji, gdzie nieszczęśliwy chłopczyna ogłoszony został męczennikiem za rosyjski naród i wiarę rosyjską, ofiarą polskiej nad Rosjanami tyranji...

Jest już urzędowe wyjaśnienie sprawy żulińskiej. Dziecko umarło naturalną śmiercią na gruźlicę. Modlitwa ruska nie mogła być powodem bicia. Czy bicie miało miejsce, wykażą dalsze dochodzenia. Tyle na razie pewne, że Greiss był w najgorszym razie nieludzką jednostką. Nie był zaś zgoła krzewicielem zapomocą kija — kultury polskiej. Pragniemy gorąco, by śledztwo było najsurowsze i wykazało całą prawdę. Jeśli stwierdzi ono jakikolwiek fakt narodowego prześladowania, niema kary, na którąby nie zasługiwał winowajca. Jeśli jednak okaże się, że sprawę żulińską stworzyła ukraińska prasa ku oczernieniu i osłabieniu polskości, niema również kary, na którąby nie zasługiwali zbrodnicze pismaki, jątrzący przeciw sobie bratnie narody na pożytek moskiewskich „oswobodzicieli“.

PRZECIW KLERYKALIZMOWI. Oba miasta uniwersyteckie Galicji były świeżo widownią antyklerykalnych manifestacji młodzieży akademickiej. We Lwowie nowy rektor, teolog, jakiś tam ks. Jaszowski, niefortunnym pociągnięciem do odpowiedzialności młodzieży strejkującej (t. zn. wszystkich niemal słuchaczy prócz wydziału „Czytelni Akademickiej“ no i teologów) przypomniał młodzieży postępowej stare jej żądanie: wydzielenia teologji, fakultetu, który nic nie ma wspólnego z nauką, poza obręb najwyższej uczelni. Żądania te ponowiono na specjalnym wiecu, na którym powzięto również ostrą rezolucję w sprawie prof. Janika. W Krakowie liczny tłum młodzieży zebrał się na inauguracyjnym *publicum* ks. Zimmermana, który zamierzył i świecką młodzież wtajemniczyć w misterja chrześcijańskiej socjologji; wśród wrzawy i śpiewów rewolucyjnych upłynęła ta godzina. Sądzimy, że „Myśl Niepodległa“, która ostro a niesłusznie schłostała młodzież galicyjską za brak sympatji dla „wolnomyślicielstwa“, przekonała się teraz, że uniwersytety galicyjskie nie są znowu taką ostoją politykomanji i obskurantyzmu, jak je w ostatniej dekadzie opisano.

O PRAWA DLA KOBIET. W ubiegłą sobotę odbył się w sali ratuszowej odczyt wiceprezydenta miasta Lwowa, dra Tobiasza Aschkenasego, o reformie wyborczej do rady miejskiej ze specjalnym uwzględnieniem prawa głosowania kobiet. Jak wiadomo, klub reformy przeprowadził w subkomitecie projekt, ograniczający tylko cenzusem bierne prawo wyborcze kobiet, zresztą dający kobietom też same co i mężczyznom uprawnienia. Projekt ten odrzucony został na komisji przez reakcyjną większość barwy strzelnicowej, ND-ckiej i nieokreślonej, chociaż, rzecz ciekawa, prezydent Ciuchciński, mieszczanin i wódz strzelnicy, sympatyzował z równouprawnieniem kobiet.. W takim momencie zapowiedziany odczyt wybitnego działacza i doskonałego prelegienta ściągnął tłum, zamienił się w manifestację. W głębokim wykładzie przedstawił dr. Aschkenase całą sprawę reformy, jako sprawę walki. Zrozumiałym jest opór dzisiejszych rządców miasta przeciwko reformie. Gdyby przyjęto zasadę powszechności, w miejsce 14 000 wyborców znalazłoby się ich 34 000; nieuprawnieni dotąd zmajoryzowaliby dotychczasowych uprzywilejowanych. To też reforma zależy od parcia rewolucyjnego mas z zewnątrz. Ale podobnież i równouprawnienie kobiet nie jest czymś, coby dało się przeprowadzić drogą przekonywania i perswazji; i ono zależy z jednej strony od ogólnego nacisku w duchu reformy wyborczej, z drugiej strony od intenzywności ruchu kobiecego.

Do streszczonych wywodów szanownego prelegenta dodać możemy tylko wniosek, który się sam przez się nasuwa: że potrzeba, aby czynne politycznie żywioły z pośród kobiet wzniecił burzę w kraju przeciw reakcji sejmowej i ratuszowej. Jeśli „niema praw bez obowiązków“, to ten obowiązek należy do najważniejszych.



# MISERICORDIA.

(G) Pomiędzy narodowymi demokratami są jednak tęgie chłopy, n. p. taki p. Dmowski, który „nie wahał się przelewać krwi bratniej dla utworzenia jedności narodowej“ a stworzywszy tę jedność, zawiózł ją do Pragi i ofiarował bez zastrzeżeń p. Bobrińskiemu. Po tym przekonawszy się, że „radykalizm narodowościowo-demokratyczny“ coraz gorzej idzie, przeniósł się do firmy „Ugoda“. Czemu ja mam być gorszy? pomyślał p. Korfanty — przedstawiciel narodowościowo-demokratycznego interesu na Poznańskie, który ugodowców z „Katolika“ podobnie jak p. Dmowski traktował jako szubrawców i zaprzańców — kieszeń moja chudnie, organ tych szubrawców jest zasobniejszym wydawnictwem, pójdę w służbę do „Katolika“. I poszedł — dla utworzenia, jak pisze „jedności narodowej“. Dziwne ceny miewa u tych panów ta nieszczęsna j e d n o ś ć: — to krwi, to pieniędzy i krwawy jest ich pieniądz.

(G) Pan Samuel Popiel, znany kabalista, wydał broszurkę o organizacji Rzeczypospolitej Polskiej, odbudowanej w roku 1912 Zapoczątkować ją ma walka powietrzna na błoniach Zamarstynowskich w kwietniu, utwierdzić wjazd Mikada do Lwowa. Za to wszystko kabalista swym podpisem ręczy.

Pewne wątpliwości w wiarogodność przepowiedni budzi ufność, jaką p. Popiel pokłada w tym, iż nietylko Pan Bóg, ale i Pan Głąbiński jest z nami, oraz gorące polecnie „Słowa Polskiego“, jako bezstronnego organu.

(G) Lambda, fejletonista „Kroniki powszechnej“ słupieje ze zdumienia, iż polityka „nęci ku sobie młodzież“ i pomimo własnego zdania: „na wynalezienie nowych haseł nie tak łatwo się zdobyć, jakby to się zdawać mogło“ przezwycięża wszystkie trudności i w rubryce „hasło dla młodych“ pisze: „Politykowanie nazwałem bezcelowym. Czyż bowiem pyta kto młodzież o jej przekonaniu, gdy się decyduje o losach kraju? Nie! Więc jeśli nikt nie troszczy się o to zdanie, nikt na te przekonania nie patrzy, po co je wytwarzać, po co tracić czas na rzeczy, które się nikomu na nic nie zdadzą“?

Że pan Lambda za młodu nie tracił czasu na wytwarzanie sobie przekonań, to znać z jego pióra — ale po co twożzy obecnie artykuły, które się nikomu na nic nie zdadzą, po co nagle stał się tak bezmyślnie na czas rozrzutnym, to jest godne podziwu. O zdanie młodzieży troszczyć się musi, na jej przekonania patrzeć każdy światły obywatel, bo ona stanowi o przyszłości narodu.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały“ piękne i trafnie wybrane motto z Krasińskiego widnieje na czele jednego z tych pism, którymi się tak gorszy publicysta „Kroniki Powszechnej“; a im więcej tego pokroju publicystów grasuje po kraju, im więcej Zimmermanów obsiada katedry — tym energiczniej młodzież sama sobie musi budować światy nowych ideł, by nie wyrastać na „Lambdów“.

(K). Wedle wiadomości, które na własnym drucie otrzymujemy z Poli, poseł Petelenz zgłosił się tamże do c. k. komisji asenterunkowej jako ochotnik na majtka, prosząc by go w nagrodę zasług, poniesionych około tronu i floty, zaliczono do załogi pierwszego austro-węgierskiego dread-noughtu. Po dokładnym zbadaniu lekarze wojskowi stwierdzili u ochotnika chorobową elastyczność karku i skrzywienie stosu pacierzowego; nadto stan gorączkowy na tle patryjotycznym tak silny, że mógłby zachodzić obawa, że od wewnętrznego pożaru w takich majtkach cała c. i k. flota się zajmie. Na odmowną odpowiedź komisji, petent popadł w stan silnej depresji moralnej i fizycznej. Wyborcza jego ojczyzna, dotąd Wesoła, będzie mu odtąd smutną. Zwłaszcza w razie rozwiązania parlamentu...




**„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.**

Prenumerata wynosi:

| | rocznie | półr. | kwart. |
|---|---|---|---|
| w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . | 20 kor. | 10 kor. | 5 kor. |
| w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec . | 18 mk. | 9 mk. | 4·50 mk. |
| w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa . . | 12 rb. | 6 rb. | 3 rb. |
| w innych miejscowościach Europy | 24 fr. | 12 fr. | 6 fr. |
| w Ameryce . . . . . . . . | 6 dol. | 3 dol. | 1·50 dol. |

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 0 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal.** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12–1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny Juliusz Łopatka.